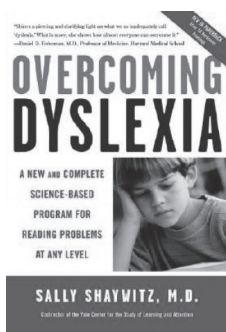


Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH



REWELACJA!! (*****)

Sally Shaywitz M.D., Jonathan Shaywitz M.D.: *Overcoming Dyslexia*. Ed. 2. updated and revisioned. New York: Vintage Books, 2020, s. 591, ISBN 978-0-679-78159-2.

Na ogół nie sygnalizuję tu wznowień, ale ta publikacja jest nieprawdopodobna i nawet nie wiem czy słowo *wznowienie* ma tutaj swoje uzasadnienie. Wobec bowiem edycji z 2005 r. wszystko zostało gruntownie zmienione i przerezegowane. Inne jest nawet sprawstwo, bowiem ówczesna autorka, prof. dr Sally Shaywitz z Uniwersytetu w Yale, teraz doprosiła swojego syna Jonathanana, profesora z California University. Wtedy monografia wzbudziła entuzjazm znawców i teraz też zasługuje na podobne potraktowanie.

Sprawa ma dłuższą historię. Przez dziesiątki oraz setki lat zauważano, że niektóre dzieci oraz niektórzy dorośli, mimo pełnej sprawności intelektualnej, nie mogą nauczyć się czytać dostatecznie szybko, jak też odpowiednio sprawnie. Dopiero pod koniec XIX w. francuski uczoney Paul Broca ustalił, że to za sprawą dysfunkcjonalizacji czołowego płata mózgu, który odpowiada za przetworzenie mowy. Potem zaś uczoney niemiecki, Carl Wernicke, dopowiedział jeszcze, że wtedy nie działa także tylna część umysłu, odpowiadająca za rozumienie mowy. Okazało się również, że wówczas nie ma łączności pomiędzy obydwooma ośrodkami.

Poza nazwą *dysleksja* z tych ustaleń długo jednak mało co wynikało. Dopiero bowiem na początku bieżącego stulecia prof. Shaywitz opisała szczegółowo (teraz detali jest znacznie więcej), na czym to wszystko polega, oraz jak wyciągać z dysleksji dzieci, młodzież, a także dorosłych, bowiem limitów wiekowych w tym zakresie nie ma. Są natomiast kiepskie następstwa spóźnionego rozpoczęcia działań zapobiegawczych. A rozmaitych przyczyn dysleksji jest sporo i nieraz trudno obejść się bez pomocy psychologa. W szkole, w poradni psychologicznej albo w bibliotece. Lecz bywa to trudne, bowiem dyslektyków – zwłaszcza w wieku szkolnym – jest wielu. Znaczny odsetek dziewcząt i chłopców, a także osób dorosłych, z ogromnym trudem uczy się czytać, bez winy z ich strony. W USA na dysleksję cierpi co piąte dziecko, mimo że wspomaganie ma miejsce ze strony wielu rodziców. Po prostu czytanie nie jest procesem naturalnym i 20%-30% dzieci radzi sobie z trudem. Dysleksja bywa 3-4 razy częstsza wśród chłopców, niż wśród dziewcząt. A interwencji potrzeba możliwie szybko, kiedy zauważy się kłopoty. Przyczyny mają charakter fonologicz-

ny a nie intelektualny: to trudność przebudowy zapisu w wypowiedź mówioną.

Wszyscy mówią, ale nie wszyscy umieją czytać. Bo język mowy jest wrodzony, a czytania trzeba się nauczyć. W mózgu za wyrażanie słów odpowiada przednia część – ośrodek Broki – a za zrozumienie: spiralna część za uchem, czyli ośrodek Wernickego. Obydwa płaty muszą współpracować. Inaczej – nic z tego.

Powtórzyć: główną przyczyną dysleksji jest słaba wydolność ośrodka Broki oraz płata Wernickego i brak połączeń między nimi. Zmiana polega na aktywizacji, zatem na praktyce czytania, ale do tego potrzebne jest rozeznanie okoliczności, a to na etapie przedszkolnym lub wczesnoszkolnym bywa niemożliwe. Wymaga bowiem czytania głośnego – trudnego do osiągnięcia – a czytanie ciche jest nie do weryfikacji i bywa szczególnie powolne. Co zresztą, nawiasem mówiąc, ma też swoje zalety, pozwala bowiem głębiej wniknąć w sens tekstu.

W wydobyciu się z dysleksji może pomóc częste czytanie oraz głośne współczytanie z rodzicami, a także z nauczycielami, bibliotekarkami i logopedami. Zaś w późniejszych etapach bardzo pomocna jest nauka pisanja, z tym że nie ręcznego, lecz komputerowego. Wysoce pożyteczne jest też łączenie sygnału werbalnego z odpowiednikiem wizualnym. Następuje bowiem automatyzacja procesu czytania i czytelnik staje się interaktywny. Główny kłopot czytelniczy to fonologiczne przetworzenie zapisu w dźwięki. Ten proces wymaga samouświadomienia: trzeba wiedzieć, że nie jest się głupkiem. Wskaźnik IQ nie ma żadnego związku z czytaniem ani z pisanem, tak jak i z myśleniem. Dyslektykiem jest Steven Spielberg. Dyslektykami są pisarze: John Grisham oraz John Irving, a także szeroko znani lekarze: Toby Cosgrove i Tyler Lucas, jak też laureaci nagród Nobla: Carol Greider (w dziedzinie medycyny) i Jacques Dubochet (w dziedzinie chemii). Dyslektykiem był również dyrektor największej na świecie biblioteki publicznej w Nowym Jorku. A lista innych dyslektyków – wybitnych kreatorów i twórców, powszechnie w świecie znanych – jest długa.

W całym tym kompleksie procesów i zjawisk dysleksyjnych, najważniejsze – a zarazem najtrudniejsze – jest możliwie wczesne jej rozpoznanie. Dziecko zaczyna mówić pomiędzy pierwszym a drugim rokiem życia, ale dzieciom dyslektycznym przekręcanie słów zdarza się czasami nawet w wieku sześciu lat. Na ten czas oraz na później przydaje się czytanie [przez kogoś] słów rymowanych a także pobliskich znaczeniowo. Natomiast dziedziczność w dysleksji ma miejsce wyjątkowo rzadko; to jest zjawisko w znacznym stopniu autonomiczne.

Dla trzylatków indywidualny charakter głosek nie jest oczywisty. Dopiero czterolatki wyodrębniają litery, a przy ukończeniu przedszkola na ogół znają cały alfabet. W drugiej klasie szkoły podstawowej dziecko rozpoznaje pojedyncze głoski mówione i czyta poprawnie (płynnie) zapisane

krótkie słowa. W klasie trzeciej czyta się poprawnie na głos, a w czwartej już płynnie, jeżeli dla wiedzy (informacji) albo/i dla przyjemności; pod warunkiem, że z druku. Kojarzy się wtedy zapis z wyglądem i brzmieniem oraz z sensem. Czasami bywają trudności z czytaniem słów krótkich, lecz długich już nie. Na etapie przedszkolnym są trudności w zapamiętywaniu słów – wyglądu i dźwięków – a czasem nadmiernie długo ciągnie się gaworzenie. Ale w efekcie bogatsze bywa słownictwo. W stadium szkolnym nauka czytania trwa dłużej i to obniża szacunek do samego siebie. Ale są postępy w mądrym myśleniu i uogólnianiu. Na etapie młodości bywają trudności w zapamiętywaniu treści oraz w mówieniu w obcym języku. W czytaniu nieraz brakuje płynności i rzadsze jest czytanie dla przyjemności. Ale sprawnie wychodzi pisanie oraz uczenie się i rozległe myślenie.

W czytaniu cichym rozumienie tekstu jest zazwyczaj lepsze. W okresie nauki szkolnej dysleksja nierzadko bywa przeszkodą w rozumieniu słów i tekstów czytanych oraz zapisywanych. Najlepszy czas na eliminację dysleksji ma miejsce w przedszkolu – pod warunkiem, że się ją w porę rozpozna. Ale bywa różnie: nie ma jednego wskaźnika dysleksji. Trzeba ją wychwycić możliwie wcześniej przez zaburzenia fonologiczne, a więc raczej dźwiękowe aniżeli treściowe. Wypada więc rejestrować rozwój mowy dziecka, bo wczesne kłopoty w mówieniu spowalniają potem tempo nauki czytania. Potrzeba więc stosownych ćwiczeń lektorskich – np. cztery razy w tygodniu po godzinie. Dobrze też, jeśli dziecko czyta głośno dorosłemu 4-5 razy w tygodniu po 15 minut. Możliwie płynnie, szybko i dokładnie, z właściwą intonacją. Wtedy będzie to przyjemne. Już w przedszkolu rozpoznaje się kształty, brzmienia oraz nazwy słów. Tym lepiej, jeżeli dokona się segmentacji słów dłuższych na sylaby. Trzeba też czytać z dzieckiem słowa krótkie, czasem dłuższe, segmentować sylaby w słowa oraz ze słów komponować wiedzę. W USA są specjalne grupy nauczania dyslektyków (u nas nie słyszałem), po 3-5 osób, możliwie aktywnych. Autorka zaleca czytanie tekstów możliwie treściowo powiązanych. Wypowiada się, że lokalna biblioteka jest dla nich skarbnicą.

Po zakończeniu każdej sesji czytelniczej dobrze jest zachęcić dziecko do streszczenia przeczytanego tekstu z użyciem nowo poznanych słów. Jeżeli ma to mieć miejsce w klasie, mogą pojawić się lęki. Wtedy warto ten sam tekst przeczytać jeszcze raz w domu – dla siebie. Kto nie czyta płynnie, ten wymaga wsparcia. A płynne czytanie to w pierwszej klasie podstawówki 40-60 słów na minutę, zaś w klasie czwartej: 120-180 słów. Tygodniowo dobrze jest poznać dziesięć nowych słów. Czytać trzeba często, intensywnie i zaczynać możliwie wcześniej. Autorka kilkakrotnie podkreśla, że bardzo ważne jest też pisanie, ale koniecznie na komputerze. No i dyslektyk musi wiedzieć, że jego przypadłość jest wrodzona, ale do opanowania, chociaż nie bez wysiłku. Autorka doradza, żeby dla dyslektycznego dziecka wybrać odpowiednią szkołę specjalną. W USA jest takich 39.

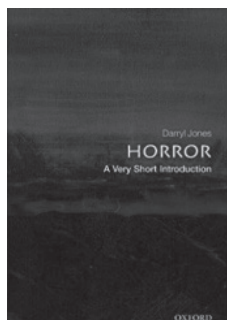
A u nas – trudno powiedzieć. Ważne zatem, żeby społeczność uczniowska była pomieszana, program nauczania zaś – możliwie bogaty i różnorodny, z obfitym repertuarem sportowym. Swoje znaczenie mają programy pozaprzemiotowe (jeżeli są), z dużym ładunkiem techniki i trzeba, żeby nauczyciele klarownie sygnalizowali efekty nauczania.

Na okres pomaturalny trzeba mieć pomysł na siebie: studiować to, co wydaje się (i jest) interesujące, z kierunkami ścisłymi bądź zmatematyzowanymi włącznie. Dysleksja silniej dokucza kobietom w pobliżu wieku średniego. To czasem w studiowaniu przeszkadza ale nieczęsto; a zwykle utrudniona jest nauka języków obcych, a liczne uczelnie tego warunku nie odpuszczają. Na studiach lepiej nie sygnalizować swojej dysleksji. Bywa z niej zresztą i taki pożytek, że czyta się i rozumuje staranniej. Przydają się urządzenia generujące sztuczną mowę oraz umożliwiające pisanie digitalne. Są poza tym (nie u nas) specjalne programy dla dyslektyków, wspierające naukę czytania. A do nauki języków obcych użyteczne są teksty, oferujące raczej konkluzje niż pojedyncze słowa.

Niekiedy dysleksji od dzieciństwa towarzyszą zaburzenia emocjonalne, refleksyjne oraz ruchowe. Trudna bywa także koncentracja uwagi. To ADHD, inny zespół zjawisk deformacyjnych. Opinie o dysleksji oraz o dyslektykach mają charakter stereotypów. Nie wiadomo, jak ta wiedza rozwinie się później w skali społecznej. Z tego, co dało się ustalić w ciągu 150 lat od rozpoznania przyczyn dysleksji, trudno budować konkluzje nadmiernie optymistyczne. Zwłaszcza, że przyczyn i przejawów dysleksji, bardzo rozmaitych, jest sporo. W monografii, którą tu sygnalizuję, odnotowano je licznie, ale w rozproszeniu. To nie są niedostatki intelektualne, jednak sygnalizacja dysleksji ma miejsce najczęściej podczas nauki w 3-4 klasie szkoły podstawowej. Przeważnie bywa to czytanie szczególnie powolne. Są też trudności w rozpoznawaniu liter (raz tak, raz nie) oraz w zapamiętywaniu treści, a także nadmiernie często robi się w pisaniu błędy ortograficzne. Pisanie jest szczególnie powolne, w czytaniu zdarza się mylenie końcówek słów oraz występują trudności w dzieleniu na sylaby. Ogólnie zaś zdarza się słaba motoryka, ewentualnie w powiązaniu z autyzmem i przytrafiają się zaburzenia koncentracji myślenia, które psują właśnie porządek zapamiętywania. Jednak można z tego wyjść.

Ta potężna monografia właśnie szczegółowo charakteryzuje dysleksję – gromadzi wszak przedmiotową wiedzę ze 150 lat – i towarzyszące jej okoliczności oraz podpowiada, jak sobie z nią radzić. A robi to w sposób przyjazny i wysoce kreatywny, z opinią że dysleksja to ani wyrok, ani okoliczność zawiniona. Można wydobyć się z niej, przy wysiłku nieco wyższym niż średni – jeżeli rozpoznany jest sposób. Który właśnie w tym tekście opisano i czekanie 150 lat od ustalenia przyczyn, do wskazania jak wyjść z impasu, nie było bezproduktywne.

Z ostatnich wskazań mnie osobiście szczególnie ucieszyła opinia, że dla sprawnego czytania oraz pisania bardzo użyteczne jest korzystanie z komputerów. Bo to teraz rozwija się samorzutnie.



KOSZMARY [****]

Darryl Jones: *Horror. A Very Short Introduction*. Oxford: Oxford University Press, 2021, s. 143, ISBN 978-0-19-875556-2.

Nauki bibliologiczne zajmują się analizą funkcjonowania bibliotek, ale również tego, co w tych bibliotekach jest, zatem informacji i już nie tylko. Użytkowane są bowiem treści rozmaite i różnorodne, już przez samo to, że je zgromadzono razem. Muszą więc funkcjonować inaczej aniżeli w odmiennych kontekstach. Potrzebne są wobec tego urozmaicone ujęcia. Których dotychczas przeważnie w nauce o bibliotekarstwie nie wystarczało. Myślę, że to da się nadrobić, bez przekształcania bibliologii w filologię.

Biblioteki zajmowały się i zajmują nadal rozpowszechnianiem treści naukowych, fabularnych, informacyjnych, rekreacyjnych i pośrednich, a ich odbiór jest bardzo rozmaity, dlatego rozmaita jest/powinna być również nasza wiedza zawodowa. Nie twierdzę, że tak sobie wybraliśmy, ale tak to się poukładało. Szczególnie mocno chciane w odbiorze były różnego rodzaju treści rozrywkowe, a wśród nich od dawna (w rozmaitym natężeniu) horrory oraz koszmary. Chociaż od pewnego czasu równie częste bywają w programach filmowych i telewizyjnych, a nawet w internecie. Lubimy się bać i biblioteki są w tym bardzo pomocne.

Ciekawą rozprawę o horrorach w wyobrazeniach oraz w procesach komunikacji napisał Darryl Jones, profesor angielskiej literatury w Trinity College w Dublinie (to jest segment tamtejszego uniwersytetu), a on tam zajmuje się właśnie horrorami oraz inną popularną fikcją, ogólniej zaś – literaturą angielską. Opracował 20-tomową edycję publikacji Conan Doyle’a, a w 2004 r. wydał monografię o Jane Austen. W sumie ukazało się 16 jego książek.

W książce, klarownej i zwięzłej – bo taka jest cała ta seria – autor dokonał ewidencji okropiuszy od czasów Eurypidesa i Arystotelesa. Wyliczył całą plejadę autorów z Szekspirem, Edgarem Allanem Poe oraz Jamesem Joyce’em. Poszedł zatem w ślady Arystotelesa, który uważał, że to ma być artystyczna forma okrucieństwa. Zresztą aż do czasów współczesnych sądzono, że horror to rzeczywiście forma psychicznego terroru. Pomieszana z barbaryzmem oraz częściowo z gotykem, ale także – z relaksem.

Uważano, że horror nie powinien być układny. I długo nie bywał. Jeszcze w 1980 r. aresztowano włoskiego reżysera Ruggero Deodato za nakręcenie filmu „Nadzy i rozszarpani” („Cannibal Holocaust”), tak bardzo wydał się odstręczający.

Horror to dialog pomiędzy radykalizmem i konserwatyzmem, dlatego nie może być układny. Bywa przecież, że świat przyjazny zamienia się w nieprzyjazny, albo odwrotnie, na co zwracał uwagę Freud. Stąd niezrządkiem uzasadnione pytanie *czy ja wariuję?* I w tych okolicznościach biblioteki często biorą aktywny udział. A teraz, razem z nimi, jeszcze kina oraz mediateki, jak też telewizja.

Więc to wygląda na wariant popkultury. Teodor Adorno uważał, że mdły. Z kolei angielski historyk Dominic Sandbrook twierdzi, że to duch narodu. A znów amerykański autor powieści grozy, Howard Lovecraft, był zdania, że najsilniejszą energią jest strach, zaś najintensywniejszym strachem – lęk przed nieznanym. Różnych opinii było zatem oraz jest niemało. Narracje lękotwórcze produkowali m.in. Rudyard Kipling, H.G. Wells oraz Arthur Conan Doyle. A u schyłku XIX w. świat zaszokował irlandzki pisarz Bram Stoker opowieściami o Draculi oraz o walkach ludzi z wampirami. Być może więc każde pokolenie kreuje swoje własne strachy. Jednak strachem najsilniejszym jest lęk przed nieznanym. Obecnie dominuje świadomość zagrożenia nuklearnego. Przynajmniej wiadomo, czego się bać, bo wyliczono detaliczne szczegóły.

W przeszłości, kiedy wyobraźnię inspirowano werbalnie, często pisemnie albo przez ilustracje w książkach drukowanych – taką była mantykora, czyli lew z głową człowieka – biblioteki służyły takiej właśnie rekreacji na skalę masową. Inwazja komunikacji wizualnej trochę tę rolę piśmiennictwa, zatem i bibliotek, zredukowała. A w swoim czasie Freud uważał, że kanibalistyczne tabu to najstarszy, jeszcze przedpiśmienny, kodeks praw. Początkiem był zakazany kanibalizm. Słowo pochodzi od wysp Karaibskich, gdzie zjadano ludzi. Ta praktyka powtórzyła się w ZSRR pod rządami Stalina, na wyspie Nazino za czasów wielkiego głodu, gdzie zsyłano ludzi bez środków do życia – ale amerykański autor o tym nie wiedział. Zdaniem Freuda, zakaz zjadania ludzi to było pierwotne tabu, następnie przywoływane rozległe. O kanibalizm zawadzili Poe, Wells, Conrad oraz liczni autorzy amerykańscy, a wśród nich szczególnie autorka powieści grozy, Anne Rice. Wampiryzm, już w późniejszym wariantach, zainstalował się w piśmiennictwie pod koniec XIX w. i już z nami pozostał, chociaż intensywniej w kinach oraz w telewizji. W 1897 r. irlandzki prozaik Bram Stoker ogłosił klasyczną powieść grozy *Dracula*. To było od rumuńskiego słowa *drac*, czyli demon, a następnie *diabeł*.

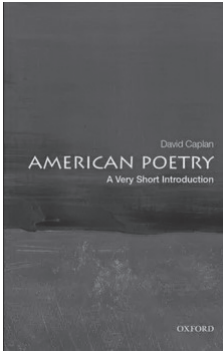
Od 2000 r. prawie wszędzie na świecie odbywały się młodzieżowe pochody przebierańców zombie. Być może w reakcji na kryzysy finansowe. Możliwe, że źródła pierwotne rzeczywiście były karaibskie, a konkretniej

haitańskie. Ale bez transmisji bibliotecznej tych treści taka skala zjawiska byłaby niemożliwa. Jeszcze w 1917 r. Max Weber namawiał w różnych obszarach na rozumny materializm, jednakże mało skutecznie.

Z czasem odżył okultyzm. Wplątali się w to nawet Conan Doyle i Dickens, chociaż w innym kierunku oddziaływał Darwin, wykluczając Boga i duszę, ale w wymiarze ogólnospołecznym wpływ tych koncepcji był znikomy. Przeciwdziały im biblioteki. Jednak myślenie o diabłach oraz o wszystkim, co złe, zostało częściowo zmarginalizowane i wypchnięte do kultury masowej: między opowieści o duchach. Częściowo – ponieważ źródło lęków jest w nas samych. Tym głębiej, im bardziej abstrakcyjne. Granica między tym, co zewnętrzne oraz co wewnętrzne jest niezniszczalna, a bywa nawet, że sygnał ciała okazuje się bestialski. Stąd likantropia, przywoływanie wilka i wilkołaka, łatwiejsze w kulturze pisma niż w multimediami, ponieważ oparte na samowyoobraźni. Biblioteki dostarczały więc stosownej pożywki i wszystko świadczy o tym, że nadal tak jest.

Przemiany koszmarnych wyglądków jako pierwszy zasugerował Owidiusz w poemacie *Metamorfozy* (8 r.n.e.). Ale potem długo, bo aż do XIX w., był to wątek marginalny. Później nastąpiło umasowienie, jednak bardziej w teatrach i w kinach, a jakościowo była to prawie wyłącznie mizeria. Zdeformowane kreacje postaci kojarzono głównie z szaleństwem. Jakkolwiek szkocki psychiatra Ronald Laing – zmarły niedawno i kojarzony z antypsychiatrią – uważał, że to jest raczej zjawisko społeczne i polityczne, aniżeli medyczne. O mniej więcej 500 lat wcześniej przez Europę przedefilowała zaś legenda Johanna Fausta (jej autor: Christopher Marlowe) – podobno przez jakiś czas studenta Akademii Krakowskiej – któremu przypisywano kontakty z piekłem.

Archetypami oraz źródłami horrorów były przeważnie środowiska podmiejskie, gdzie horror – podobno – zlewał się z popkulturą. Mówiono, że to supernaturalizm. Jednak Karol Darwin preferował określenie *naturalizm naukowy*. Ale to już były technohorrorory w dużych wersjach: horrory klasyczne – science fiction. I te opanowały podaż pisemną. Horror pojawił się wszędzie i nadal wszędzie jest. Howard Lovecraft (1890-1937), rekordowy twórca horrorów, był jednym z najgorszych pisarzy amerykańskich. Masowo i chętnie wydawany oraz tłumaczony (u nas też), stworzył postać Conana Barbarzyńcy, przyczepioną potem do powieści i do filmów na lata. Żył tylko 47 lat, ale poczytnością bił na głowę innych autorów; bez bibliotek nie byłoby to możliwe. Przez świat przedefilowały jeszcze horrory hiszpańskie, japońskie i koreańskie. Ostatnio zaś pojawiły się także obsesyjne teksty lękowe, nawiązujące do pandemii COVID-19. I to jest ta sama grupa opowieści lękowych.



ŚWIAT POEZJI [****]

David Caplan: *American Poetry. A Very Short Introduction*. Oxford 2022, Oxford University Press, s. 133, 9780-1906-4019-4.

Aktualne wypowiedzi o komunikowaniu zostały zdominowane przez doniesienia o sztucznej inteligencji (AI) oraz jej wytworach. Nie wiadomo, czy są to treści skomponowane dlatego, żeby porozumieć się z nami, czy też algorytmy, maszynowo wytworzone przez awatary. I wygląda na to, że te wątpliwości z czasem mogą się pogłębiać. Przynajmniej do pewnego stopnia.

Komunikacja elektroniczna i inne formy komunikowania spycha do roli marginalnych dodatków, które – może się wydawać – nikogo już nie interesują. A jednak wygląda na to, że miliony użytkowników bibliotek na świecie – naukowych, publicznych, szkolnych oraz innych – są odmiennego zdania. Oni wolą myśleć, że komunikaty to są komunikaty, a informacje to informacje, żadne tam algorytmy, nadawcy zaś to nadawcy (autorzy) a nie awatary (roboty). Tak przynajmniej jest obecnie. Jednocześnie nie da się przeforsować dzisiaj opinii, że oto nie istnieje już czytelnicza publiczność literatury pięknej, zwłaszcza poezji. Nie zniknęło to towarzystwo z dnia na dzień ani z miesiąca na miesiąc, pomyślałem więc, że warto w tym kierunku zwrócić uwagę Czytelników „Przeгляdu Bibliotecznego”.

Nie był to przypadek, bo natrafiła mi się rozumna książka (tytuł jak wyżej) Davida Caplana. To średniej klasy poeta i profesor Southern Methodist University. Jeśli ta rekomendacja wyda się komuś umiarkowana, to spieszę dopowiedzieć, że jego zwarta opinia o dziejach amerykańskiej poezji jest w pełni jednorodna i świetnie udokumentowana. Trudno w niej znaleźć jakąś lukę. Nici przewodnie wypowiedzi Caplana są dwie. Chronologiczna – sygnalizuje po kolei co ważniejsze dokonania najwybitniejszych amerykańskich poetów, nie gubiąc się w wirze dat, ale odwrotnie, używając ich do utrzymania treściowego porządku. Natomiast wątek porządkujący drugi ma charakter genealogiczny: wskazuje z czego co się bierze i w jakim stopniu wynika.

W amerykańskiej poezji obszarów źródłowych jest więcej niż w jakichkolwiek poezjach na świecie. Taki to kraj, takie społeczeństwo oraz taka literatura, którą trudno wobec tego zepchnąć pomiędzy algorytmy produkcji już to ludzkiej, już to awatarowej.

Tak jak większość innych znawców Caplan wskazuje na związki poezji amerykańskiej z angielską, często podkreślając ich tożsamość, a przynajmniej podobieństwa, których przy silniejszym zelektronizowaniu komunikacji byłoby zapewne o wiele więcej. W końcu do tego przecież zmierza

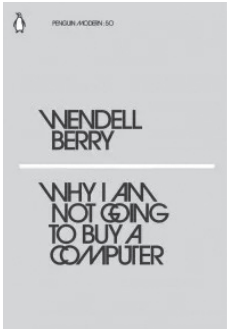
praktyka przekładów i tłumaczeń wielojęzycznych, która z czasem być może ulegnie redukcji, bądź całkowicie ustanie. Tak prorokują apologeti komunikacji elektronicznej. Na razie jednak jeszcze tak nie jest i nawet skomplikowane językowo wytwory poetyckie bywają pod różnymi względami od siebie odróżniane. Przykład relacji angielsko-amerykańskich jest przesadzający.

Ale Caplan zwraca uwagę na jeszcze inne powiązania genealogiczne w amerykańskiej poezji, wyraźnie dostrzegalne. To są liczne zastępy poetek i poetów czarnoskórych, wywodzące się w którychś pokoleniach z dawnych niewolników afrykańskich. A także są grona poetów pochodzenia żydowskiego oraz – w młodości – hiszpańskojęzycznych. Wszyscy oni wnieśli do obiegu poetyckiego nie tylko oryginalne wartości językowe, ale także mentalne, etyczne i emocjonalne. To dlatego poezja amerykańska jest niepowtarzalna i tak dalece zróżnicowana. Trudno przesądzać, czy można to osiągnąć w trybie li tylko algorytmicznym.

Chronologiczny przegląd poezji Caplan zaczyna od twórczości średniej miary poetki Anne Bradstreet, która wychowała się w Anglii, ale wyjechała do Ameryki i tam pisywała wiersze oraz urodziła ośmioro dzieci. Te wiersze wydano w połowie XIX stulecia bez jej wiedzy i zgody. Z głównym motywem w treści życiowego cierpienia.

W drugiej połowie XIX w. popularność zyskał neoromantyczny poeta Robert Louis Stevenson, znany też z powieści podróżniczych, a w 100 lat później negroidalny poeta Hugh Langston. Już w XX w. amerykańską poezję zdominowała Elisabeth Bishop, laureatka większości anglojęzycznych nagród literackich. Nieco wcześniej, bo pod koniec XIX w. uwagę publiczności przykuł Henry Longfellow. Jego *Pieśń o Hajawacie* zrobiła furorę w Anglii i stała się lekturą w podstawówce – chodziłem tam do szkoły, więc losy dzielnego indiańskiego wodza przyszło mi obwąchać ze wszystkich stron, ale entuzjazm zostawiałem w szatni. Jego rówieśnicą była Emily Dickinson. Jej medytacyjna poezja została w pełni wydana dopiero w 100 lat po śmierci poetki i wtedy wysoko oceniona. W początkach XX w. najwyższe uznanie i Nagrodę Nobla uzyskał Thomas Eliot, amerykańsko-angielski modernista, długo (i nadal) uważany za niedoścignionego mistrza poezji światowej. W jego cieniu pozostawał inny wybitny, rówieśny mu, znakomity poeta Wystan Auden, profesor Oksfordu, uczestnik hiszpańskiej wojny domowej oraz (jako pilot bojowy) I wojny światowej. Wątki filozoficzne i teologiczne, obecne w twórczości obu, owocowały w skutkach modernizmem.

Myślę, że zwarty i konkretny komentarz Caplana produktywnie zwiększa i porządkuje wiedzę o poezji amerykańskiej jako wieloaspektowy po niej przewodnik. Dopełniający zawartość bibliotecznym regałom. Być może efektywniej niż jakiegokolwiek inne formy indeksacji.



WRÓCI NOWE? [**]

Wendell Berry: *Why I Am Not Going to Buy a Computer*. Cambridge, 2018, Penguin Random House, s, 48, 978-0-241-33756-1.

W lawinie proelektronicznych wypowiedzi na temat komunikacji trudno wyłowić choćby pojedyncze, izolowane opinie sceptyczne oraz pogłębione wątpliwości. Które nawet jeśli są, to nie wnikają w istotę problemów komunikacji. To tylko taki dekoracyjny chór. Służący – jeżeli tak można powiedzieć – rozwodnieniu relacji algorytmicznych, sproszkowaniu ogólnej opinii zwartej. W praktyce zatem, pomimo obfitej bibliografii, nie wiemy, do jakich granic, w jakim stopniu i kiedy obroni się piśmiennictwo a w jakim nie, oraz jakie wobec tego istnieją zagrożenia w odniesieniu do bibliotek.

Trzeba tylko ufać, że zmiany i przekształcenia, mniej lub bardziej radykalne, nie dokonają się z tygodnia na tydzień ani z miesiąca na miesiąc. A obserwacja zjawisk komunikacyjnych pozwoli uniknąć kiepskich decyzji i dokuczliwych zachowań.

Pojawiają się wszak nie tylko nowe koncepcje nie tylko przekazywania i odbierania treści, ale też nowe nośniki i nowe języki – jak na przykład język Python – oraz służące tym językom, nieznanie wcześniej rozwiązania techniczne. Z których trzeba będzie(?) nauczyć się korzystać. Chociaż nie wiem czy wszyscy, ani w jakim przedziale \ wymiarze czasu. To, co widać teraz, to być może zaledwie wstęp.

Za taki wstęp – zresztą nie jedyny – uważam książeczkę pod powyższym tytułem. Jej autor to profesor, ale także rolnik(!) i jeden z przywódców ruchu rolników ekologicznych (chwali się, że orze końmi), a ponadto autor licznych tomów poezji i prozy. Podobno szeroko znany (u nas nie) i wysoko ceniony. Przynajmniej tak twierdzi wydawca, ale być może jest w tym ziarno przesady. W książce, którą tu sygnalizuję, zebrał kilka swoich szkiców z przeszłości i zaproponował niestandardowy punkt widzenia. W odniesieniu do rzeczywistości jako takiej, do komunikacji oraz do piśmiennictwa.

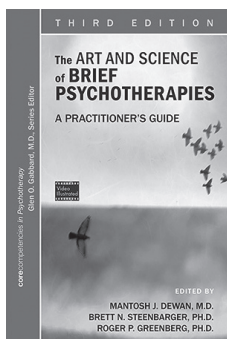
Szkic pierwszy, ukształtowany jak cała ta książeczka, zawiera objaśnienie postawy konserwatywnej. Mianowicie jako rolnik używa koni, a jako pisarz i uczoney – pióra i ołówka. Teksty przepisuje mu żona na maszynę do pisania z 1956 r. i tak wspólnie tworzą rzemieślniczą kooperatywę. Pisze w ciągu dnia. Propaganda na rzecz internetu kompletnie na niego nie działa ani do niczego nie przybliża. Bo zresztą nie ma komputera ani telewizora. Ma pytanie demagogiczne: czy pisanie bezpośrednio na komputerze przyniosłoby lepsze efekty niż w pisaniu osiągał Dante? Jego

zdaniem nowe powinno być w gabarytach mniejsze niż dawne i tańsze. Korespondencje – są w tym tomie takie teksty uzupełniające – rozmaitego autorstwa podkreślają złośliwie, że najtańsza w użyciu jest żona, a najłatwiejszy: komputer. Berry broni się, że żona robi to, co robi z własnej nieprzymuszonej woli.

Są w tej książce różne teksty polemiczne, wychwalające przeszłość, która podobno była bardzo dobra. Obawiam się że w tym samym duchu można sformułować opinię, jakoby zanim dopracowano się sprzętowych toalet, bardzo dobre były też porcelanowe nocniki.

W szczególnym szkicu *The body and the machine* korespondenci nazywają Berry'ego idiotą – to jednak przesada – i zarzucają nadmierną eksploatację żony. On sam uważa ją jednak za literacką współkreatorkę, ingeruje bowiem w treści i poprawia błędy. To poetycki inżynier a nie popychadło bądź awatar i z tą opinią można się zgodzić. Natomiast Berry chyba nie ma racji, twierdząc, że postęp techniczny to technologiczny regres. Zwłaszcza społeczny i ekologiczny, bo umknęły mu wartości rodzinne, utopione w systemie edukacji, wzajemne relacje międzyludzkie oraz łatwość życia i miłość do ojczyzny. A życie dla przyszłości jest takie jak było. Bardzo to jednostronny pogląd. Berry chciałby pisać lepiej, mądrzej i więcej, a jest zdania, że komputer mu w tym nie pomoże. Otóż dopóki nie ma rozmowy o sztucznych językach (jak choćby wspomniany Python), algorytmach i awatarach – a w tym tekście nie ma – niczego wyjaśnić ani przewidzieć nie można.

Autor zachowuje się tak, jakby oczekiwał, że oto wróci to, co już było. Nie tylko ja myślę, że jest w błędzie, jakkolwiek następujące zmiany nie muszą być natychmiastowe ani od razu radykalne.



PSYCHOTERAPIA [*****]

Umenie a veda krátkodobých psychoterapií. Sprievodca pre praktikov. Preklad mgr Iva Gacikova. Bratislava 2022, Vydavateľstvo F, s. 356, 978-80-99982-10-0.

Jakiś czas temu, lecz w sumie niedawno, spore grono wybitnych amerykańskich specjalistów z obszarów nauk okołopsychiatrycznych opracowało tom zaleceń, dotyczących postępowania w doraźnych zabiegach psychoterapeutycznych. W Polsce translacji tej publikacji nie było, do oryginału nie dotarłem, dlatego odwołuję się do przekładu słowackiego. Uważam bowiem że liczne fragmenty tej książki, które tu sygnalizuję, mają bezpośredni lub pośredni związek z codzienną praktyką bibliotekarską. A także z koncepcjami bibliologicznymi, o które zahaczają nauki

psychologiczne oraz psychiatryczne i behawioralne oraz szeroko pojmowana humanistyka.

W tomie, który teraz przywołuję, jest tego rozległa prezentacja, więc oczywiście musiałem dokonać selekcji, bo to 16 tekstów 24 autorów. Inicjatorami całości oraz koordynatorami byli profesorowie Upstate Medical University w Syracuse – Mantosh J. Dewan (rektor), Roger P. Greenberg oraz Brett N. Steenbarger.

Pierwsza oryginalna edycja tej książki ukazała się w 2004 r., następna zaś w 2012 r. Czasu minęło więc sporo, w tekstach nastąpiło mnóstwo zmian oraz pojawił się internet. To wystarczająca argumentacja, żeby tej monografii nie zignorować. Autorzy startują od sugestii, żeby krótkotrwałe formy aktywizacji myślenia potraktować jako inauguracyjne. Powinny trwać tyle, ile są potrzebne, nie wykluczając przerw pomiędzy sesjami i wtedy (dopowiem) przydaje się oferta bibliotek. Liczba sesji w dostosowaniu do pacjenta, może wynosić 10-12 ogółem, ale jest też warunek, żeby przynosiły pożytek. A jest tak, jeżeli ma miejsce chroniczna depresja, lub kiedy kłopoty są zintensyfikowane. Formy krótkotrwałej terapii bywają rozmaite, ale najskuteczniejsze są wtedy, jeżeli pomagają inaczej myśleć oraz ujawniają przyczyny zasmuceń albo depresji. Wszystko ma zmierzać do tego, żeby ludzie żyli we względnej psychicznej równowadze. Biblioteki mogą być w tym pomocne, jeżeli włączą się w krąg działań psychotherapeutycznych. Będą czymś więcej, niż tylko siecią komunikatów algorytmicznych.

Podstawowe składniki krótkotrwałych zabiegów tego rodzaju, możliwych również w bibliotekach, to te, które pozwalają na (choćby częściowe) uwolnienie się od stresów i ukrywanych lęków. Wtedy po stronie użytkownika/pacjenta najważniejsza jest umiejętność rozumowania i skupienia się na problemach. Powinien wiedzieć, do czego mu to wszystko, co w bibliotekach jest, może być potrzebne i jak z tego korzystać, żeby zachować/odzyskać psychiczną równowagę. Jest sugestia, że istnieje podrzędny koncept, który spaja całą psychoterapię w aspektach psychologicznych, biologicznych oraz społecznych. Postępowanie zaś wymaga wiedzy pacjenta, lekarza z lekarstwami oraz terapeuty pozamedycznego.

Terapia kognitywna (behawioralna) jest użyteczna przy eliminacji lęków oraz depresji, możliwa z użyciem testów albo internetu. Tu biblioteka może być pomocna. Przy zaburzeniach nastroju: to jest koncepcja Adlera i innych. Pod koniec lat 50. XX w. A. Beck uznał, że u źródeł depresji mieszczą się autourazy i zalecił obronne postępowanie psychoanalityczne i tak narodziła się psychoterapia. Z czasem – krótkotrwała. Efektem ma być skuteczna aktywność i użyteczne działanie. Nadrobienie braków, a przy dużym rozstroju nerwowym, zwłaszcza jeżeli są fobie, specjalne zabiegi z udziałem terapeuty.

We wstępie konieczna jest konkretyzacja kłopotu oraz identyfikacja ról. Trzeba zaplanować wzajemną aktywność podmiotu i użytkownika: dokonując rozeznania, co kto ma do zrobienia, po co oraz z jakim nastawieniem. Do zastosowania są różne techniki postępowania. Więc wspólne czytanie i pisanie oraz inne relacje bezpośrednio interpersonalne. Zgodna współpraca ma miejsce, kiedy użytkownik wyraża empatię. Natomiast jak najmniej trzeba lekarstw, zażywanych wewnątrznie.

Są dwa kierunki postępowania. Wesprzeć komunikację między ludźmi oraz poprawić udział w niej jednostek. Terapia może przebiegać na 8/20 sesjach, w tym 1-3 wstępnych, 4-12 w fazie średniej i 1-2 końcowej. W ankiecie weryfikacyjnej sprawdza się cechy biologiczne, psychologiczne, socjalne, kulturalne, oraz relacje międzyludzkie, ewentualnie krytyczne wnioski.

Współcześnie coraz powszechniejsze są psychoterapie wspomagane przez internet. Jest już terapia pomieszana: medialna, czytelnicza i bezpośrednia oraz stosowne możliwości terapii online. Można dodać leczenie na dystans, można zindywidualizować, zredukować, poprawić. We wszystkich formach zakłada się bezpośredni sojusz terapeuty z pacjentem. Tylko tak to działa.

Są cechy odporne na działanie terapii. Genetyczne i kognitywne. To wiek, płeć i wykształcenie. Analizy indywidualne są wiarygodniejsze, natomiast jest ich znacznie mniej. Pacjentom przedstawia się wyniki ankiet, bo przy rozległej dostępności skali testów, każdy może efekty ocenić sobie sam. A już inna sprawa, czy jest to okoliczność korzystna.

Jacek Wojciechowski

Tekst wpłynął do Redakcji 12 stycznia 2024 r.